GOSPODARKA NARODOWA

NIEZALEŻNY DWUTYGODNIK GOSPODARCZY

WARSZAWA, 15 GRUDNIA 1933
NR. 24 ROK III

CENA NUMERU ZŁ. 0.90 PRENUMERATA KWARTALNA 4. ZŁ. 50 GR.

GOSPODARKA NARODOWA

NIEZALEŻNY DWUTYGODNIK GOSPODARCZY

NR. 24
1933 R.
15 — XII

ZDARZENIA i POGLĄDY

W PERSPEKTYWIE KOŃCZĄCEGO SIĘ ROKU

Podsumowanie wyników pewnego umownego okresu, za jaki przywykliśmy uważać rok kalendarzowy, nasuwa nam trudności zupełnie specjalnej natury. Dla pisma tego rodzaju, co „Gospodarka Narodowa", ważne jest nietylko to, jakie fakty „zaistniały" w takim to a takim okresie, lecz jak odbiły się one na *strukturze* gospodarstwa narodowego. Tymczasem zdanie sobie sprawy z tych przemian wymaga odczekania upływu pewnego przeciągu czasu, a to w danej chwili jest zgoła niemożliwe.

Jeżeli mimo to usiłujemy zarejestrować szereg najważniejszych faktów w perspektywie kończącego się roku, to czynimy tak przedewszystkiem w celu uchwycenia głębszego sensu rozegranych w 1933 r. wypadków i podkreślenia specyficznych, jakgdyby atmosferycznych różnic, dzielących nasze gospodarstwo narodowe, a zwłaszcza naszą politykę gospodarczą od gospodarki i polityki gospodarczej państw innych. Byliśmy w r. b. świadkami tak jaskrawych wypadków, jak załamanie się dolara i dojście Hitlera do władzy. Obserwowaliśmy również — i to ze zrozumiałem napięciem uwagi i oczekiwania — wielki wysiłek prezydenta Roosevelta, usiłującego zrekonstruować gospodarstwo Stanów Zjednoczonych i wyzwolić je z objęć kryzysu metodami, na które stary kontynent spogląda z dużą dozą sceptycyzmu; następnie — głośne, lecz jakościowo skromne „rewolucyjne reformy" rządu Hitlera, który skądinąd na odcinek gospodarczy zwrócił daleko mniejszą uwagę, niż na zagadnienie ustroju politycznego Rzeszy, na problem władzy, gotowość bojową społeczeństwa etc.; wreszcie — bankructwo próby zbiorowego wyjścia z kryzysu, jaką była konferencja londyńska.

Tym jaskrawym, jak powiedzieliśmy wyżej, zdarzeniom i wysiłkom przeciwstawiamy na własnym terenie nietylko stałość kursu waluty, lecz przedewszystkiem *stałość wytycznych polskiej polityki gospodarczej,* przyczem ta druga w naszem pojęciu umożliwia pierwszą. Oparte o wyraźną w r. b. stabilizację konjunktury, opanowywanie kryzysu polegało na likwidacji pozostałych jeszcze w naszem gospodarstwie przerostów oraz na wyrównaniu szans i dopasowaniu do siebie zmienionych przez kryzys poszczególnych elementów tegoż gospodarstwa. Unikanie eksperymentów (z walutowym na czele), odrzucenie jako zasady „nakręcania konjunktury", stosowanie umiarkowanych środków „walki z kryzysem", — oto zasadnicze cechy polityki gospodarczej w omawianym okresie. Dorzucając do wymienionych norm posunięcia w rodzaju rozpisania Pożyczki Narodowej i sfinansowania robót kolejowych przez pożyczkę zagraniczną, streszczamy najważniejsze punkty działalności Państwa w 1933 roku.

A społeczeństwo? A tysiące i dziesiątki tysięcy warsztatów pracy? — Przystosowanie się ich nietylko do odrębnej fazy konjunktury, lecz przedewszystkiem do odsłoniętego przez kryzys podłoża strukturalnego, uchwycenie istoty zagadnień długo - falowych — świadczyłoby, że nauki, jakie daje kryzys, nie zostały zmarnowane i że sens zdrowej gospodarki został oceniony w sposób należyty. O korzystnej ewolucji psychiki gospodarującego społeczeństwa świadczyłoby również i to, że w

znacznym stopniu (niewątpliwie skutkiem zmęczenia, wywołanego przez uporczywość i zasięg kryzysu) osłabły dążenia do podporządkowania zagadnień długo - falowych zagadnieniom zmiany ustroju, która jakoby miała „załatwić sprawę" wyjścia z kryzysu.

Rok, który się kończy, nie był w Polsce rokiem, bogatym w *efektowne* wypadki i czyny, nie możemy jednak twierdzić, że nie był on rokiem pozbawionym *efektywnych* wysiłków ku dźwignięciu polskiej gospodarki narodowej na poziom, umożliwiającej narodowi i państwu odegranie roli, jaką im wyznacza bieg historji i układ sił politycznych w Europie.

BOHDAN ŁĄCZKOWSKI

FINANSOWANIE ZBIORÓW

W zakresie polityki finansowania zbiorów istnieją możliwości częściowego rozwiązania zagadnienia rentowności produkcji roślinnej.

Sprawa sezonowych wahań cen artykułów rolniczych była już niejednokrotnie poruszana[1]). Wydaje się jednak, że waga zagadnień, związanych z temi regularnemi falowaniami poziomu cen większości płodów rolnych jest wciąż jeszcze niedoceniana. Ostry, stały spadek cen tych artykułów w ostatnich latach wysunął na pierwszy plan kwestję poziomu cen rolniczych wogóle, niezależnie od przemian, zachodzących w poszczególnych porach roku. Zjawisko sezonowych wahań cen traktowane jest jako zagadnienie drugorzędnego znaczenia.

O rentowności warsztatu rolnego decyduje cena, po jakiej warsztat ten sprzedaje wyprodukowane przez siebie artykuły, a nie „idealna", przeciętna cena roczna tych artykułów. O rentowności produkcji rolnej jako całości rozstrzyga (jako jeden z dwuch podstawowych elementów kalkulacji obok przeciętnych kosztów produkcji) poziom cen artykułów sprzedawanych przez warsztaty rolne w okresie czasu, kiedy większość tych warsztatów dane artykuły ma na zbyt. Tem samem wszelkie rozważania na temat poziomu cen płodów rolnych, rentowności wasztatów rolnych i t. d. muszą zawsze uwzględniać sezonowe wahania cen. Wahania te są w Polsce wyjątkowo ostre. W zakresie niektórych artykułów rolniczych rozpiętość sezonowych wahań cen dochodzi do 100%. Stąd nasuwa się wniosek, że dla producentów tych właśnie artykułów sprawa wahań sezonowych jest niemniej ważną od kwestji ogólnego rocznego poziomu cen owych artykułów. Weźmy dla przykładu cenę żyta. Przyjmijmy, że w miesiącach pożniwnych cena tego zboża kształtuje się na poziomie 14 zł. za 100 kg., a na przednówku cena dochodzi do 28 zł. Przeciętna (nieważona) cena roczna wynosi powiedzmy 21 zł. Zgodnie z wieloletnią obserwacją wiemy, że większość warsztatów rolnych sprzedaje całość lub większą część przeznaczonych na rynek zbóż w miesiącach pożniwnych. Dane amerykańskie[2]) mówią jako o regule, iż ok. 60% każdorazowych zbiorów zostaje sprzedana przez rolników do dn. 1 stycznia danego roku. Oficjalna statystyka kanadyjska wykazuje w niektórych latach, że rolnicy do dn. 1 stycznia wyzbywają się ok. 90% ogólnej ilości zbóż, przeznaczonej na sprzedaż (t. j. po potrąceniu tej części produkcji rocznej, która idzie na wewnętrzny użytek warsztatów rolnych). Bardzo ostrożnie licząc, możemy przyjąć, że w Polsce przynajmniej $^2/_3$ części zbiorów rzucanej przez rolników na rynek, wychodzi z ich rąk przed 1 stycznia każdego roku. Dla warsztatów rolnych, które w miesiącach pożniwnych sprzedają całość lub większą część nadwyżek rynkowych jest kwestją równie istotną, by w tym okresie czasu cena żyta (że pozostaniemy już przy cytowanym przykładzie) wynosiła 21 zł., wskutek wyrównania poziomu wahań sezonowych, jakaby doszła do tego samego poziomu w rezultacie podwyższenia ogólnego rocznego (a więc i pożniwnego) poziomu cen o dalsze 7 zł. (z zachowaniem dotychczasowej rozpiętości wahań sezonowych). W tym drugim wypadku rolnik za sprzedawane przez siebie żyto otrzymałby również 21 zł. Przytoczony tutaj, zresztą bardzo szkicowy, przykład wykazuje, że w niektórych wypadkach wyrównanie wahań sezonowych cen może dać dla całości rolnictwa efekt nie mniejszy, niż znaczne podwyższenie ogólnego rocznego poziomu cen danych artykułów rolnych.

Naturalnie możliwości całkowitego wyrównania sezonowych wahań w zakresie cen artykułów specjalnie silnie im podlegających, jak np. wszystkich prawie płodów produkcji roślinnej, w praktyce nie istnieją. Zupełnie realne są natomiast możliwości zmniejszenia amplitudy tych wahań.

Wahania sezonowe cen artykułów roślinnych w Polsce wynikają ze słabości finansowej warsztatów rolnych, w większej części pozbawionych kapitału obrotowego. Możliwości złagodzenia tych wahań leżą więc przedewszystkiem w zakresie zaradzenia temu brakowi kapitału obrotowego, który zmusza rolników do sprzedawania zboża bezpośrednio po żniwach. Najprostsze rozwiązanie: generalne zwiększenie rozmiarów kredytów krótkoterminowych i znaczne obniżenie oprocentowania tych kredytów nie jest obecnie realnem. Istnieje

[1]) „Gospodarka Narodowa" Nr. 6/1933, artykuł „P. Z. P. Z. czy zastaw rejestrowy", Nr. 10/1932 r. uwaga „Sezonowość" i t. d.

[2]) Cytowane w pracy J. Wiśniewskiego: „Współzależność między wahaniami sezonowemi a konjunkturalnemi". Prace Instytutu Badania Konjunktur Gospodarczych i Cen.

natomiast cały szereg może mniej skutecznych, czy mniej ogólnych środków zaradczych, które mogą dać pozytywne rezultaty.

Całość tych środków zaradczych stanowi właściwy problem finansowania zbiorów. W obecnych warunkach najważniejszym z tych środków wydaje się rejestrowy zastaw rolniczy. Przy braku dostatecznej ilości elewatorów, które umożliwiłyby magazynowanie zbóż w okresie największej podaży, nie istnieją możliwości dostosowania popytu ze strony wielkiego handlu zbożowego, prywatnego czy państwowego, do rozmiarów zwiększonej na jesieni podaży. Większa część zboża dostaje się do rąk drobnych pośredników, nie rozporządzających ani odpowiedniemi urządzeniami technicznemi, ani dostatecznemi środkami obrotowemi, pracujących wskutek tego drogo i źle. Rozszerzenie znaczne rozmiarów kredytu zastawowego, wydatne potanienie kosztów związanych z tym kredytem, zapewnienie rolnikom dostatecznego dopływu tego kredytu odrazu po żniwach i uniezależnienie sum dostarczanych z tytułu tego kredytu od działania śruby podatkowej — to są główne założenia, których wypełnienie może w znacznym stopniu przyczynić się do szerszego korzystania z tego kredytu, a w efekcie może spowodować ograniczenie podaży zboża na jesieni. Przy istniejących obecnie warunkach kredyt zastawowy wydaje się głównym środkiem, którego właściwe zastosowanie może zmniejszyć amplitudę wahań sezonowych cen artykułów roślinnych (przez podwyższenie poziomu cen na jesieni i obniżenie poziomu cen na przednówku). Naturalnie warunkiem skutecznego działania tego kredytu jest obowiązek niesprzedawania zastawionego zboża przed terminem jego spłaty.

Kredyt zastawowy stanowi zaledwie jeden ze środków właściwego finansowania zbiorów. Istnieje cały szereg innych nie mniej skutecznych środków, jak np. wprowadzenie handlu terminowego zbożem, handel ten bowiem przez ułatwienie przerzucania ryzyka, płynącego z tranzakcji kupna-sprzedaży zboża obniża koszty pośrednictwa, a tem samem podwyższa cenę płaconą producentom. Istnieje dalej cała skala możliwych do zastosowania form kredytu warrantowego i t. d. Żaden z tych środków zwiększenia chłonności rynku w okresie realizacji zbiorów nie jest możliwy do zastosowania bez odpowiednio rozbudowanej sieci elewatorów.

Obok więc sprawy rozszerzenia zakresu kredytu zastawowego głównym problemem z zakresu polityki finansowania zbiorów jest obecnie sprawa budowy elewatorów. Sprawa ta jest wciąż aktualna zdaje się, że od czasu śmierci Kazimierza Wielkiego, który podobno zostawił Polskę „murowaną, bogatą w domy mieszkalne i śpichrze", ciągle jednak realizacja jej pozostawiana jest „przyszłym pokoleniom". Dokładniej zajmowano się u nas sprawą budowy elewatorów przed sześciu laty w okresie ogólnego ożywienia gospodarczego, największego natężenia ruchu inwestycyjnego, „inflacji" kredytów budowlanych i rozkwitu „prosperity" rolnictwa. Uznano wtedy, że sprawę budowy elewatorów odłożyć należy do „lepszych lat". Od tego czasu zyskaliśmy cenne doświadczenie, że bieg życia gospodarczego nie idzie prostą drogą narastających coraz to lepszych lat, lecz, że przechodzi przez łamańce kryzysu. Wydaje się, iż nauka, płynąca z tego doświadczenia, winna skłonić obecnie do rewizji ropowszechnionego przed kilku laty poglądu na sprawę budowy elewatorów. Elewatory, jako odrębne przedsiębiorstwa, będą zapewne w większości wypadków nierentowne. Przyniosą one jednak niewątpliwie wielki zysk ogólno-gospodarczy i społeczny, gdyż umożliwią właściwą politykę finansowania zbiorów, a tem samem poprawią rentowność wielkiej części warsztatów rolnych. To też sprawa budowy elewatorów powinna być rozpatrywana pod kątem widzenia norm użyteczności publicznej. Plan rozbudowy sieci elewatorów należałoby brać pod uwagę przy wszelkich zakrojonych na większą skalę programach ożywienia ruchu inwestycyjnego.

Główny nacisk w polityce zbożowej ostatnich lat położony jest na kwestję walki z niepomyślnymi skutkami działania czynników konjunkturalnych. Wydaje się jednak, że właśnie obecnie w okresie złej konjunktury dla rolnictwa, usunięcie starej bolączki strukturalnej naszego życia gospodarczego: zbyt ostrych wahań sezonowych cen płodów rolnych mogłoby przynieść trwałą i wydatną poprawę sytuacji. Przytem rezultaty akcji podjętej w tym kierunku wolne są od ryzyka, którego nie są pozbawione próby „walki z konjunkturą".

Dr. KAZIMIERZ STUDENTOWICZ

SYNTEZA I REPLIKA

W przedostatnim numerze „Gospodarki Narodowej“ wystąpił p. Poniatowski w artykule pt. „Jeszcze o równi złotej“ z ponowną krytyką moich poglądów na problemy walutowe. Pomimo hojnego szafowania cytatami myśli moje wyszły w zupełnie zniekształconej formie. Odnosi się to specjalnie do próby zbudowania z moich poglądów „praktycznego programu polityki pieniężnej na najbliższą przyszłość“. Nie sposób zbijać zarzuty p. Poniatowskiego punkt po punkcie bez obawy znużenia czytelnika długością wywodów. Musiałem zatem obrać inną metodę odpowiedzi.

W krótkości sens moich artykułów był następujący:

„Stanąłem na stanowisku, że tylko taki system pieniężny można uważać za znośny, który nie dopuszcza do tak wielkich wahań poziomu cen, obojętne wdół czy wgórę, żeby gospodarstwo społeczne nie mogło się do nich dostosować bez nadmiernych wstrząsów. Za ideał waluty uważam pozatem walutę międzynarodową, która zapewnia całemu światu jednolity system pieniężny. Ze względu na specjalne właściwości złota, jest waluta złota jedyną walutą, jaka w praktyce w sposób możliwie doskonały spełnia oba te postulaty. Dzieje się to jednak tak długo, jak długo istnieje nieskrępowane zbytnio gospodarstwo światowe. Z chwilą wybuchu przesilenia jest zatem zupełnie niedopuszczalną rzeczą chwytać się środków rozbijających gospodarstwo światowe i prowadzących do autarchji. W ten sposób może wprawdzie ten i ów kraj uratować u siebie walutę złotą, przestaje ona jednak spełniać oba wymienione na początku postulaty: 1) zamiast łączyć kraje, rozdziela je w sposób możliwie doskonały; 2) ogólne poszukiwanie złota (nie mówiąc o wzroście jego tezauryzacji) dla celów, które przedtem mogły być zaspokojone wymianą dóbr i usług, staje się samoistnym czynnikiem wzrostu wartości złota, co w wybitny sposób pogłębia i przedłuża toczący się proces deflacji i prowadzi w swej konsekwencji do niepożądanej interwencji państwa we wszystkie stosunki gospodarcze wewnątrz kraju ze specjalnem uwzględnieniem aparatu kredytowego. Wynikłe stąd coraz doskonalsze zamrożenie aparatu kredytowego odbija się ujemnie na możliwościach dalszej kapitalizacji oraz powstrzymuje samoczynną likwidację kryzysu w drodze bankructw“.

Mając powyższe na uwadze, przedstawiam sobie politykę walutową z chwilą wybuchu przesilenia bynajmniej nie w ten sposób jak ją interpretuje p. Poniatowski, lecz w sposób następujący:

W pierwszej fazie nie przeciwdziałać likwidacji przerostów w drodze bankructw, pozostawić aparatowi kredytowemu swobodę w zakresie obrony swej płynności w drodzę restrykcyj kredytowych, nie ograniczać stosunków z zagranicą, ponieważ jest to środek obosieczny, który się natychmiast odbije rykoszetem na własnym kraju, nie utrudniać odpływu dewiz i złota zagranicę, równoważyć natomiast wszelkiego rodzaju budżety publiczne.

Polityka walutowa w drugiej fazie będzie zależna od tego, jak się ustosunkują inne państwa. Jeżeli odpowiedzą one taką samą polityką, to wtedy dojdzie w możliwie najszybszem tempie do likwidacji przesilenia. Możliwe są tu jednak dwie ewentualności. Jeżeli zapasy dewiz i złota kraju oraz szereg innych pretensji w stosunku do zagranicy (papiery wartościowe zagraniczne, krótkoterminowe kredyty udzielone zagranicy, możliwości uzyskania kredytu od zagranicy itp.), są dostatecznie wielkie, to kraj przebrnie przez przesilenie z nienaruszoną walutą złotą. Jeżeli natomiast zaczynają one grozić zupełnem już wyczerpaniem, to zamiast stosować jakiekolwiek sztuczne środki, mające na celu wstrzymanie ich odpływu, należy zawiesić wymienialność banknotów na złoto i pozwolić się wahać kursowi pieniądza w zależności od warunków popytu i podaży z tem tylko, że przy obecnej technice można z powodzeniem uniknąć wszelkich gwałtownych zmian kursu, które są najbardziej szkodliwe. Wprawdzie pod wpływem czynników psychicznych kurs pieniądza spadnie początkowo więcej niż powinien, wróci jednak z biegiem czasu do swego gospodarczego parytetu, uzasadnionego stosunkiem poziomu cen krajowych do zagranicznych. Musi się jednak w tym celu prowadzić w dalszym ciągu politykę zrównoważonych budżetów publicznych i obrać za kryterjum polityki emisyjnej banku centralnego wskaźnik cen możliwie najlepiej odzwierciedlający tempo życia gospodarczego i starać się o utrzymanie go na tym poziomie, który istniał w chwili odstąpienia od waluty złotej. Z chwilą likwidacji przesilenia nastanie okres, w którym będzie można przystąpić spowrotem do ustawowej stabilizacji pieniądza w złocie według nowej relacji, po jego uprzedniej stabilizacji de facto.

Obce państwa mogą jednak nie odpowiedzieć taką samą polityką, jaką kraj zastosował w pierwszej fazie przesilenia, lecz przystąpią albo do gwałtownego ograniczania swych stosunków z zagranicą, albo też do wpływania na przebieg konjunktury wewnątrz u siebie, co doprowadzi w rezultacie do deprecjacji ich pieniądza. Wobec tego rodzaju agresywnej polityki obcych państw kraj nie może pozostać biernym i musi również zastosować środki retorsyjne w zakresie handlu zagranicznego. Z tą chwilą jednak zaczyna waluta złota odgrywać w rozwoju stosunków z zagranicą zupełnie uboczne znaczenie. Jeżeli zaś cały szereg obcych państw walutę tę wcześniej porzuci, to nie zapewnia ona nawet stałość kursów dewiz, ponieważ stałość ta zależy zawsze nie od jednego ale od dwuch państw. Przeciwnie, wzrastająca wartość złota utrudnia coraz bardziej eksport, wewnątrz zaś kraju zmusza do coraz głębszej deflacji, ze wszystkiemi

tego faktu skutkami Gdy grozi opisany wyżej rozwój wypadków, staje się zupełnie widocznem, że stałość poziomu cen krajowych jest dużo lepszem kryterjum dla polityki emisyjnej banku centralnego niż fluktuacje rezerw złota. Należy wtedy zawczasu, jeszcze zanim dojdzie do ingerencji państwa w funkcjonowanie aparatu kredytowego, odpowiednio zmienić politykę emisyjną banku centralnego w tym celu, by nie dopuścić do zupełnego zamrożenia tego aparatu i zahamowania tą drogą samoczynnej likwidacji przesilenia w drodze bankructw. Utrzymanie stałości poziomu cen krajowych w okresie przesilenia jest niemożliwe bez odpowiedniego zwiększenia obiegu oraz wzrostu kredytów. Stąd wynika konieczność liberalnej polityki emisyjnej i kredytowej. Polityka ta jednak nie tylko, że nie powstrzyma odpływu rezerw złota, lecz nawet go przyśpieszy tak, że po pewnym czasie może się okazać koniecznością zawieszenie wymienialności banknotów na złoto. Będzie to jednak dużo mniejszem złem niż, w razie zastosowania polityki przeciwnej, rujnujący wpływ coraz bardziej pogłębiającej się deflacji na wewnętrzne życie gospodarcze kraju oraz jego zdolność eksportową. W krajach, w których skutkiem fatalnych doświadczeń z okresu inflacji wojennej ludność jest specjalnie wrażliwa na spadek waluty, może nawet dojść w drodzę reakcji psychicznej do pewnego wzrostu poziomu cen, który jednakże przy zrównoważonym budżecie państwowym i odpowiedniej polityce emisyjnej banku centralnego nie mógłby być wielki, ani też nie mógłby się powtórzyć tak, że wszelkie objawy natury inflacyjnej zostałyby w zarodku stłumione.

Istnieje jeszcze trzecia faza przesilenia, w którą wchodzi kraj, gdy skutkiem niezatrzymania się w odpowiedniej wskazanej przezemnie powyżej chwili na drodze deflacji grozi mu albo też dochodzi faktycznie do skutku ogólne załamanie struktury kredytowej. Wtedy mamy już jednak do czynienia z sytuacją tak katastrofalną, że uratować można ją tylko w drodze radykalnego zmniejszenia ciężaru długów i dopiero po jego zmniejszeniu można wrócić spowrotem do polityki stabilizacji poziomu cen po to, żeby po ostatecznej likwidacji przesilenia wrócić do waluty złotej. Opowiedziałem się przytem ze względów, których tutaj powtarzać nie mogę, za dwoma metodami oddłużenia: 1) inflacją, jeżeli chodzi o Stany Zjednoczone; 2) ustawowem oddłużeniem, jeżeli chodzi o kraje, które niedawno przeszły przez inflacje wojenną. Chciałbym przytem dodać, że jeżeli chodzi o środki, jakiemi Roosevelt usiłuje celem oddłużenia podnieść poziom cen, poddałem je, nie negując zasadniczego celu, surowej krytyce w nr. 8, 9, i 10 miesięcznika „Bank".

Niema w powyższej syntezie moich poglądów ani jednego zdania, któreby w sposób jasny i niedwuznaczny nie było wypowiedziane w cyklu moich artykułów. Z syntezy tej zaś wynika, że:

1) Stoję na gruncie samoczynnej likwidacji kryzysu w drodze bankructw i żądam stosowania w każdej fazie przesilenia takiej polityki walutowej i gospodarczej, któraby ten proces ułatwiała nie zaś hamowała lub wręcz uniemożliwiała.

2) Żądam dlatego w drugiej fazie przesilenia: a) niepowstrzymywania w sztuczny sposób odpływu złota lecz dopuszczenia w razie wyczerpania się rezerw złota do spadku waluty; b) bezwzględnego zahamowania procesu deflacji przez odpowiednio liberalną politykę emisyjną i kredytową w razie, gdy przez stosowanie przez obce państwa środków prowadzących do autarchji proces deflacji zostaje do tego stopnia pogłębiony, że grozi on zupełnem zamrożeniem aparatu kredytowego i w związku z tem uniemożliwia likwidację bankructw i normalny rozwój kapitalizacji. Zahamowanie spadku poziomu cen nie jest w żaden sposób możliwe bez znacznego zwiększenia obiegu oraz kredytów. Utożsamianie tego z inflacją, o której może być mowa dopiero wtedy, gdy poziom cen zaczyna rosnąć, jest jednym z pospolitych błędów, który należy jaknajostrzej zwalczać.

3) Nie doradzam w żadnym wypadku inflacji t. zn. dążenia do podniesienia poziomu cen przy pomocy środków monetarnych, poza jedynym wyjątkiem, gdy doszło już skutkiem zbyt wysokiego spadku cen do zamrożenia aparatu kredytowego. I wtedy jednak jestem zwolennikiem stosowania inflacji jako środka oddłużenia tylko na terenie państw, które nie przeszły inflacji wojennej.

4) W związku z punktem 3 wykluczam też bez żadnego absolutnie wyjątku umyślną zewnętrzną deprecjację waluty bez inflacji, t. zn. bez odpowiedniego wzrostu poziomu cen, jak to miało ostatnio miejsce w Stanach Zjednoczonych na skutek polityki zakupów złota. Odrazu jednak wyjaśniam, że jest kardynalnym błędem utożsamianie z powyższem spadku waluty, będącego następstwem wyczerpania się rezerw złota kraju, któremu to zjawisku nie towarzyszy w razie umiejętnej polityki emisyjnej i kredytowej wzrost poziomu cen krajowych, przez co poziom ten wyrażony w złocie spada i doprowadza do zrównoważenia bilansu płatniczego.

5) Z chwilą zawieszenia wymienialności banknotów na złoto domagam się obrania stałości poziomu cen za jedyne kryterjum polityki walutowej.

6) Stan pod 5 uważam za przejściowy i domagam się powrotu do waluty złotej po likwidacji przesilenia, ale już na parytecie odpowiadającym istniejącemu w danej chwili stosunkowi wzajemnych poziomów cen różnych krajów.

* *

Powyższa synteza moich poglądów załatwia w zupełności zasadniczą część zarzutów p. Poniatowskiego. Ciekawe jest jednak, że, jeżeli razem z p. Poniatowskim dążymy do jednego celu, a mianowicie jaknajszybszej samoczynnej likwidacji kryzysu w drodze bankructw, utrzymania zaufania i dotrzymania przyjętych zobowiązań, to różnimy się tak dalece w poglądach na środki do tego celu wiodące. Dla mnie powód tych rozbieżności jest zupełnie jasny. P. Poniatowski jest ożywiony tak gorącą chęcią utrzymania wszystkich bez wyjątku elementów zaufania, nawet wtedy gdy one wzajemnie się zupełnie wykluczają, że nie pozwa-

la mu to uniknąć całego szeregu poważnych sprzeczności.

Sądzę, że stanowisko p. Poniatowskiego nie daje odpowiedzi na następujące pytania:

1) Jak uniknąć zawieszenia waluty złotej, jeżeli rezerwy złota odpłyną;

2) Jeżeli odpływ rezerw złota powstrzyma się sztucznem ograniczaniem obrotów międzynarodowych, to jak nie dopuścić do nadmiernego wzrostu wartości złota i jak wywiązywać się à la longue z przyjętych na siebie zobowiązań zagranicznych:

3) Jeżeli w związku z punktem drugim spadek cen zostanie nadmiernie pogłębiony, jak uniknąć zupełnego zamrożenia aparatu kredytowego;

4) Jak utrzymać zdrową selekcję przedsiębiorstw w drodze bankructw przy zamrożonym aparacie kredytowym;

5) Jak uniknąć nadzwyczajnych środków zaradczych w postaci inflacji lub przymusowego oddłużenia, gdy niemożność wywiązywania się ze zobowiązań, jako nieuniknione następstwo zamrożenia, grozi aparatowi kredytowemu generalnem bankructwem;

6) Przymusowe oddłużenie działa skutecznie dopiero wtedy, gdy:

a) zostało dokonane w dostatecznie wielkich rozmiarach, gwarantujących dłużnikom możność obsługi zmniejszonego ciężaru długów;

b) po jego przeprowadzeniu poziom cen dalej już nie spada.

Wypełnienie postulatu pod a) leży wyłącznie w zakresie decyzji rządu, postulat pod b) natomiast wymaga już po przeprowadzeniu ustawowego oddłużenia zahamowania wszelkiej dalszej deflacji przez odpowiednie zliberalizowanie polityki emisyjnej i kredytowej. Jak jednak pogodzić tego rodzaju politykę z koniecznością dalszej obrony waluty złotej;

7) Gdyby się dla dalszej obrony waluty złotej zrezygnowało z realizacji postulatu wymienionego pod 6 b), to jak uniknąć ponownego utrudnienia likwidacji bankructw i unicestwienia w ten sposób dobroczynnych skutków ustawowego oddłużenia przy równoczesnem podkreśleniu ujemnych stron tego aktu;

8) Państwa, które odstąpiły od waluty złotej, wcześniej czy później do tej waluty powrócą, ale na podstawie zupełnie nowych relacyj. Wtedy zaś wystąpi na wierzch wszelkie nieusunięte jeszcze w drodze deflacji przewartościowanie walut państw, które się utrzymały przy podstawie złota. Jak wtedy uniknąć ostatniego już, ale nieuniknionego, o ile się chce obronić parytet złota, etapu deflacji.

Pozatem p. Poniatowski uważa osiągnięcie stałego poziomu cen za gospodarczo niepożądane. Snuje natomiast rozważania na temat „prawdziwego t. zn. niezmiennego miernika wartości nazywanego w najnowszej literaturze fachowej „pieniądzem neutralnym". Ciekawym tylko, według jakiego kryterjum zamierza p. Poniatowski oceniać niezmienność tego miernika, jeżeli wyklucza stałość poziomu cen. Zaleta tego nowego miernika polega według p. Poniatowskiego na tem, że nie wyłącza on wahań indywidualnych cen pod wpływem zmian zachodzących w produkcji, tak jakgdyby stabilizacja poziomu cen, powtarzam poziomu, a nie indywidualnych cen, kiedykolwiek uniemożliwiała coś podobnego.

P. Poniatowski nie zna żadnego „wykończonego systemu waluty manipulowanej, którýby zyskał bądź powszechne uznanie teoretyków, bądź został wypróbowany w praktyce". Jeżeli chodzi o teoretyków, to powszechne uznanie jest na długo jeszcze wykluczone. Ale jakim sposobem Szwecja*) „potrafiła od końca września 1931 r. utrzymać przez przeciąg 65 tygodni stały poziom cen detalicznych. Poziom ten nie spadł w ciągu ani jednego tygodnia więcej jak o 0,55%, ani nie wzrósł więcej jak o 0,52%, zaś jego największe kumulatywne odchylenie od ustalonej normy wyniosło 1,76%. Nie był to żaden przypadek. Szwecja zrobiła to dążąc do wykonania wyraźnej uchwały komisji bankowej Riksdagu, za zgodą szwedzkiego ministra finansów, który opowiedział się za „utrzymaniem wewnętrznej siły kupna korony".

Jest to klasyczny przykład, pozatem możnaby jednak przytoczyć cały szereg innych, wprawdzie mniej klasycznych, ale mimo to wiele mówiących przykładów. Kraje, które nam dały ten przykład, uniknęły wszelkich nadzwyczajnych zarządzeń z zakresu przymusowej reglamentacji kredytu, zachowały najbardziej płynny aparat bankowy oraz przyczyniły się w minimalnej mierze do ograniczenia obrotów międzynarodowych. W krajach tych wystąpiły ponadto najwcześniej oznaki poprawy. Oznaki te nie posiadają przytem bynajmniej przejściowego charakteru, lecz wykazują wszelkie cechy trwałości. Znaczy to, że można było przeprowadzić likwidację przerostów gospodarczych bez gwałcenia wszystkich prawie procesów gospodarczych po to tylko, żeby w żadnym wypadku nie dopuścić do zmiany wartości pieniądza krajowego w stosunku do złota.

*) Patrz „Inflation" Irving Fisher, London, George Allen and Unwin, Ltd, 1933.

U W A G I

TECHNIKA NASZEGO INTERWENCJONIZMU.

Pomijam zagadnienie celowości czy niecelowości, potrzeby czy szkodliwości interwencjonizmu. Abstrahuję całkowicie zarówno od dyskusji nad zasadniczą stroną problemu, jak i np. od tła politycznego, które rodzi niektóre wypadki ingerencji państwowej w życie gospodarcze i nadaje im takie, a nie inne formy. Sądzę bowiem, że z chwilą kiedy interwencjonizm jest faktem, i kiedy rzeczywistość społeczno-polityczna nakazuje oczekiwać jego rozwoju a nie zamierania, leży w interesie społecznym możliwie gruntowne rozważenie techniki interwencjonizmu, zanalizowanie, jakie jego formy są mniej, a jakie bardziej efektywne, które z nich mają większy, a które mniejszy „współczynnik sprawności", „skutek użyteczny", które wreszcie zabezpieczają w mniejszym, a które w większym stopniu przed skutkami ubocznemi, nieleżącemi w intencji ingerującego ośrodka. Przykładem tego rodzaju formalnej analizy niektórych konsekwencyj rozszerzenia się ilości i zakresu aktów prawnych, regulujących działalność gospodarczą, jest artykuł p. Buczkowskiego p. t. „Inflacja ustaw gospodarczych", zamieszczony w Nr. 17 — 18 „Gospodarki Narodowej" z r. b. Obok tej strony problemu, która omówiona została przez p. Buczkowskiego, istnieje oczywiście jeszcze szereg innych i na dwie z nich chciałbym zwrócić uwagę. Łączność, a raczej równoległość moich rozważań z wspomnianym wyżej artykułem podkreślam przedewszystkiem dlatego, że zbyt często w zagadnieniu interwencjonizmu „strona formalna" ustępuje w cień wobec strony zasadniczej, a tymczasem rozważania techniczne mają przynajmniej jedną przewagę nad zasadniczemi: większe znaczenie praktyczne. O ile bowiem dalszy rozwój czy zahamowanie rozwoju interwencjonizmu jest funkcją kompleksu przyczyn mało zależnych od woli ludzkiej, to natomiast zakres swobodnego wyboru w dziedzinie techniki i formy jest znacznie szerszy.

Ustawodawstwo gospodarcze ostatniej doby nosi w Polsce dwa charakterystyczne znamiona: po pierwsze, większość ustaw gospodarczych ukazuje się w formie dekretów Prezydenta Rzplitej, t. zn. ciężar decyzji spoczywa nie na reprezentacji parlamentarnej, lecz na władzy wykonawczej; po drugie, znaczna część tych ustaw nosi charakter ramowy, udzielając szerokich pełnomocnictw Radzie Ministrów, czy poszczególnym Ministrom, przyczem niejednokrotnie te instancje przekazują również w sposób ramowy znaczną część uprawnień uzyskanych na mocy dekretu innym podległym im instancjom.

Zastanówmy się, jakie rezultaty daje system dekretowania ustaw, pomijając zupełnie okoliczności, które sprawiają, iż sam system jest w Polsce rzeczą przesądzoną. Innemi słowy, zastanówmy się nad tem, czy dekretowanie ustaw zamiast t. zw. „normalnej" drogi ustawodawczej, wpływa na ich treść, na ich gospodarczą zawartość. Rzecz prosta, wszelkie wnioski, do jakich dojdziemy, pozostaną niesprawdzalnemi z tytułu niemożności przeprowadzenia kontrolnego doświadczenia. Tem samem więc wiarogodność tych wniosków może być zawsze kwestjonowana. Jednakowoż rozumowanie czysto teoretyczne, oparte o analizę mechanizmu powstawania dekretów gospodarczych, nasuwa pewne wnioski, które nie będąc może dla wszystkich przekonywującemi, wydają się jednak piszącemu te słowa w każdym razie symptomatyczne. Ilościowy rozwój dekretowania ustaw gospodarczych przypada na okres kryzysu gospodarczego, a raczej nie przypada, a łączy się ściśle i wynika z samej istoty tego okresu. Lwia część dekretów gospodarczych należy bowiem do zakresu t. zw. ustawodawstwa kryzysowego. Przynajmniej w rozszerzonem znaczeniu tego pojęcia, obejmującem nietylko tak zwaną walkę z kryzysem, ale i próby rewizji norm prawnych i układu stosunków gospodarczych po myśli obserwacyj i refleksyj poczynionych w okresie kryzysu. Dla wyjaśnienia tej, nieco skomplikowanej, definicji dodam, że do pierwszej kategorji zaliczam posunięcia, mające na celu bezpośrednie zapobieganie jakimś skutkom kryzysu (a więc np. ustawodawstwo finansowo-rolne, zmierzające do powstrzymania fali bankructw w rolnictwie, lub zmianę statutu Banku Polskiego w kierunku zmniejszenia obowiązującego pokrycia wobec perspektywy odpływu złota i walut). Do drugiej kategorji należą posunięcia takie, jak np. przebudowa systemu ubezpieczeń społecznych, czy norm regulujących warunki pracy pracowników najemnych, przyczem jedno i drugie nie było podyktowane przyczynami, które zmusiłyby nas do zaliczenia tych aktów prawnych do kategorji pierwszej, chociaż w treści dokonanych zmian wyraźna jest sugestja sytuacji kryzysowej.

Czy forma dekretowania wpłynęła na treść materjalną ustaw należących do obu tych grup? Wydaje się, że tak. Nie ulega wątpliwości, że władza wykonawcza w wyższym stopniu niż ciało ustawodawcze posiada możność przeanalizowania, gruntownego zbadania wysuwanych projektów, możność wykorzystania konsultacji specjalistów. Również poczucie odpowiedzialności za rezultat musi być silniejsze w gabinecie ministrów, niż w ciele parlamentarnem, gdzie w żadnym wypadku nie istnieje odpowiedzialność indywidualna, a conajwyżej wątpliwa odpowiedzialność zbiorowa. Dlatego też nie jest przypadkiem, że polskie ustawodawstwo kryzysowe należało do najbardziej zrównoważonych, wykazujących najmniejszą pochopność do eksperymentowania na kontynencie europejskim i nietylko na kontynencie europejskim. Forma dekretowania równoznaczna z przerzuceniem ciężaru decyzji na władzę wykonawczą, sprzyjała umiarkowaniu polityki gospodarczej i ustawodawstwa w okresie kryzysu. Teren parlamentarny sprzyjałby niewątpliwie większemu radykalizmowi i eksperymentatorstwu. Jeśli pomi-

nąć państwa, w których władza wykonawcza znajduje się w rękach jednostek lub grup, które przyszły do władzy właśnie pod hasłem dokonania przewrotu w metodach gospod. rowania (Hitler, Roosevelt), będziemy musieli stwierdzić, że eksperymentowanie, radykalizm posunięć polityki gospodarczej jest z reguły rezultatem inicjatywy i nacisku ciał parlamentarnych, czy ugrupowań społecznych lub politycznych, podczas kiedy władza wykonawcza jest raczej czynnikiem hamującym. Wolno tedy mniemać, że nawet w ramach tego samego kierunku politycznego, reprezentującego te same interesy, zapewnienie przewagi władzy wykonawczej jest czynnikiem sprzyjającym umiarkowaniu polityki gospodarczej. Dekretowanie ustaw gospodarczych możemy w warunkach polskich uważać śmiało za jeden z czynników nadających naszej polityce gospodarczej charakter tego umiarkowania i, naogół biorąc, ostrożności, jakie cechowały ją w okresie kryzysu.

Nie wyczerpuje to jednak zagadnienia wpływu formy dekretowania na treść naszego ustawodawstwa gospodarczego. Jak wzmiankowaliśmy, jest to ustawodawstwo kryzysowe. Okres kryzysu sprzyja, a conajmniej sprzyjać może supremacji interesu gospodarczego, sublimowaniu tego interesu do roli zadania naczelnego, zadania, któremu wszystko musi być podporządkowane. Takie „postulaty gsopodarcze", jak postulat utrzymania nienaruszonych warsztatów pracy, czy ułatwienia produkcji i obrotu przez zmniejszenie obciążeń socjalnych, mają szczególne szanse zyskiwania przewagi n. p. nad postulatami natury socjalnej. Wytwarza się dążenie do prowadzenia polityki gospodarczej o czysto gospodarczych celach, polityki, aspirującej do nazwy „ponadgrupowej". Polityka gospodarcza rezygnuje, czasowo przynajmniej, z szerszego uwzględniania interesów nawet bardzo licznych grup społecznych, o ile te interesy nie pokrywają się z danem rozumieniem interesu ogólno-gospodarczego. A neutralna w zasadzie i w intencjach polityka gospodarcza w praktyce neutralną nie jest, gdyż nie sposób wyobrazić sobie taką politykę gospodarczą, która nie wpływałaby w żaden sposób na pozycję i sytuację poszczególnych grup społecznych. Z poprzednich rozważań wynika zaś chyba jasno, że forma dekretowa nietylko hamuje eksperymentowanie, ale i sprzyja wytwarzaniu się polityki gospodarczej o celach czysto gospodarczych, z wszystkiemi tego konsekwencjami.

Druga charakterystyczna cecha naszego ustawodawstwa gospodarczego — ramowość, niewątpliwie jest w znacznym stopniu — wyrazem nieskrystalizowanej, nie dającej się zgóry przewidzieć sytuacji. Ale posiada ona i drugą stronę, stronę, która stopniowo zyskuje na wadze, przesłaniając niewątpliwe plusy zasady ramowości. Przekazywanie uprawnień coraz to niższym instancjom staje się zwyczajem. Skutkiem tego zatraca się przedewszystkiem jednolitość praktyki w przestrzeni. Z drugiej strony, o ile nie nasuwa zastrzeżeń ramowość ustaw w sensie umożliwienia czynnikom naczelnym rewizji zasad, bez uciekania się do zmiany podstawy prawnej działania, o tyle w miarę przekazywania uprawnień instancjom podrzędnym, zjawa się zamiast możliwości rewizji zasad, możliwość rewizji praktyki, t. zn. zatraca się jej jednolitość w czasie. Wreszcie proces przekazywania kompetencyj ramowych doprowadza do skoncentrowania w rękach niższych instancyj nadmiernie wielkiego zakresu kompetencyj. Dziś niewątpliwie ramowość jest nadal narzucona przez warunki objektywne. Tem niemniej jednak liczyć się należy z faktem, że stwarza ona nawarstwienia uprawnień nie we właściwych centrach, i daje poszczególnym ośrodkom administracji nie dość określony zakres uprawnień i kompetencyj. Na dłuższy dystans taki stan rzeczy stałby się równie niedogodny dla życia gospodarczego, jak szkodliwy dla samej administracji.

c. b.

FUNDUSZ INWESTYCYJNY.

Dziennik Ustaw nie jest lekturą szerokich warstw społeczeństwa, prasa zaś codzienna ograniczyła się do wzmianek i do skąpego zrelacjonowania oświetleń czynników miarodajnych. Wydaje się więc rzeczą pożyteczną zatrzymać się nieco dłużej nad sprawą bonów Funduszu Inwestycyjnego.

Wnioskując z postanowień rozporządzenia Prezydenta Rzplitej z dn. 27 października b.r. (Dz. U. Nr. 85 poz. 636) oraz postanowień rozporządzenia wykonawczego Ministra Skarbu z dn. 10 listopada b.r. (Dz. U. Nr. 89 poz. 694), jak również z wynurzeń czynników oficjalnych, możemy urobić sobie następujący pogląd o bonach Funduszu Inwestycyjnego.

A więc przedewszystkiem, w jakim celu są wypuszczane bony Funduszu Inwestycyjnego? Jak wynika z oświadczeń czynników miarodajnych, dochody z emisji bonów służyć mają na sfinansowanie (częściowego lub całkowitego) zakupu materjałów przy robotach wspomaganych przez istniejący już Fundusz Pracy, który — jak wiadomo — udziela w zasadzie pomocy kredytowej tylko do wysokości kosztów robocizny.

Emisja bonów dokonywana będzie serjami. Każda serja wynosić będzie 40.000 sztuk 25-cio złotowych bonów. Maksymalna granica emisji bonów określona została na 100 miljonów złotych. (Rozporządzenie Min. Skarbu z dnia 10 listopada b. r. przewiduje narazie emisję 10-ciu seryj).

Bony Funduszu Inwestycyjnego będą bezprocentowe i bezterminowe. Umarzanie bonów dokonywać się będzie w drodze losowania, które odbywać się będzie co tydzień i będzie polegało na wyciągnięciu 7 numerów z liczby numerów od 00001 do 40000 (jest to numeracja kolejna bonów jednej serji). Bony, opatrzone wyciągniętemi numerami, uznaje się za wylosowane we wszystkich serjach pierwszej emisji. Za każdy wylosowany bon wypłacać się będzie posiadaczowi przy wykupie 100 zł. za 25 zł. wartości nominalnej.

Bony zaopatrzone zostały w szereg przywilejów, przysługujących papierom państwowym, a ponadto w celu podniesienia ich atrakcyjności

w następujące przywileje szczególne: 1) można będzie niemi spłacać według imiennej wartości wszelkie państwowe podatki i daniny, opłaty, cła, kary i grzywny, oraz zobowiązania pieniężne wobec Skarbu Państwa, 2) będą na żądanie posiadaczy wymieniane przez kasy urzędów skarbowych na gotówkę bez żadnych potrąceń, jednak z pewnemi utrudnieniami natury technicznej.

Charakteryzując w sposób powyższy bony Funduszu Inwestycyjnego, opuściliśmy szereg cech dodatkowych, ponieważ — zdaniem naszem— nie wpływają one na zmianę poglądu o istotnym charakterze tego papieru.

Jak już powiedzieliśmy, dochody z bonów mają służyć na sfinansowanie inwestycyj. Jakie to będą inwestycje? — nie wiemy. Nie ulega wszakże wątpliwości, że amortyzacja tych inwestycyj będzie wymagała dłuższego okresu czasu. Kredytowe więc operacje, związane z ich sfinansowaniem, muszą posiadać charakter długoterminowy, ażeby kredyt mógł być spłacany.

Warunek ten — zdawałoby się — znalazł należyte ujęcie w konstrukcji bonów Funduszu Inwestycyjnego. Jak głosi rozporządzenie Ministra Skarbu, bony *są bezterminowe*. Terminu „bezterminowe" nie należy jednak brać dosłownie, gdyż — jak wynika ze zwykłych arytmetycznych obliczeń — każda serja bonów musi ulec całkowitej amortyzacji w ciągu *110 lat* od daty pierwszego losowania. Oczywiście tak długoterminowy papier musi posiadać wyjątkowo atrakcyjne walory, ażeby mógł liczyć na przyjęcie przez publiczność. Walorem takim może być przedewszystkiem odpowiednio atrakcyjny dochód. Czy bony dochód taki gwarantują? Wiadomo jest, że bony są nieoprocentowane. Warunki natomiast losowania przewidują, że za każdy wylosowany 25 zł. bon posiadacz otrzyma 100 zł. Pozornie—korzyści są duże. Trzeba jednak uwzględnić prawdopodobieństwo wylosowania. Przy pierwszem losowaniu wyrażać się ono będzie stosunkiem liczb — 7:40000, przy następnem jak 7:39993 i t. d. Dla porównania warto zaznaczyć, że w loterji państwowej prawdopodobieństwo wylosowania jest niewiele mniejsze (po dokonanej ostatnio reformie) jak 1:2, czyli, że prawie co drugi los wygrywa. Trudno jest więc sobie wyobrazić, aby bony inwestycyjne stanowiły pod tym względem dla publiczności jakąś atrakcję. Dla lepszego zilustrowania zagadnienia warto zaznaczyć, że koszty kredytu, zaciąganego przez Państwo zapomocą emisji bonów inwestycyjnych, będą bardzo niewielkie, gdyż — zgrubsza licząc — wynosić będą około 2⁷/₈% rocznie! Jak na nasze stosunki jest to rentowność papieru wyjątkowo niska.

Ażeby więc, mimo to, uczynić papier atrakcyjnym, wyposażono bony Funduszu Inwestycyjnego w przywilej wymienialności na gotówkę oraz w przywilej zwalniania z zobowiązań wobec Państwa. Oba te przywileje, o których wyżej była mowa, aczkolwiek stanowią pewną atrakcję dla posiadaczy jednak *całkowicie przekreślają charakter długoterminowy papieru*. A jak wiemy, dochody z emisji bonów mają być przeznaczone na sfinansowanie inwestycyj. Charakter więc operacji kredytowej biernej nie odpowiada charakterowi operacji czynnej. Jest to to samo, co finansowanie inwestycyj z oszczędności złożonych na rachunkach bieżących.

Trudno jest w tej chwili snuć przypuszczenia, jak zostanie przyjęta pierwsza emisja bonów inwestycyjnych. Wszakże należy wziąć pod uwagę, że jest to bezprocentowy i mało premjowy papier. Tymczasem kurs 3% pożyczki budowlanej, której ogólny koszt, t. j. oprocentowanie łącznie z premjami — wynosi 7% (a nie 2⁷/₈%!), kształtuje się na giełdzie warszawskiej na poziomie około 76% wartości nominału.

Obawiać się więc można, że w razie nawet wchłonięcia przez rynek pewnej ilości bonów inwestycyjnych, bony te w bardzo krótkim czasie mogą wrócić zpowrotem do Skarbu. Okaże się wówczas, że to Skarb z *budżetu sfinansował* Fundusz Inwestycyjny i udzielone przez Fundusz kredyty, a nie rynek publiczny.

Wprawdzie 10 miljonów zł. pierwszej emisji bonów nie jest to suma wielka, jednak Minister Skarbu musi poważnie liczyć się z tem, że o kwotę tę wzrosną wydatki budżetowe. (Dokonanych bowiem inwestycyj nie da się przecież natychmiast spieniężyć i spłacić w ten sposób posiadaczy bonów!).

Jeżeli bony inwestycyjne mogą na rynku pieniężnym odgrywać pewną dodatnią rolę, to tylko jako specjalna forma lokaty rezerw gotówkowych. Byłyby to, jak słusznie je określa p. T. Sławiński w „Przeglądzie Gospodarczym", swego rodzaju czeki, „wystawione na rachunek bieżący w Skarbie Państwa". Charakter jednak tych lokat — jak to już zaznaczyliśmy — w żadnym razie nie uprawnia do finansowania długoterminowych inwestycyj, nie można zwłaszcza dziś opierać na tego rodzaju operacjach wielkich planów inwestycyjnych. Nie wiemy bowiem, jeszcze, jak bony zostaną przyjęte przez publiczność i jaki będzie obrót temi papierami.

o. m.

GOSPODARKA KSIĄŻKĄ.

„Teraz, wiecie. bieda z książkami. Jeżeli nakład jest mniejszy, niż pięćdziesiąt tysięcy, to dobrej książki szukaj tylko w bibljotece. Bo w trzy dni wykupią każdą książkę. Toć wszyscy umiecie czytać. Czy można wam wszystkim nastarczyć? A samych bibljotek jest trzydzieści tysięcy" (K. Zieliński „W księgarni" — „Wiadomości Literackie" Nr. 47).

To mowa o Rosji Sowieckiej.

W Polsce jest bibljotek więcej, niż w Rosji: w r. 1929 statystyka oficjalna naliczyła ich dokładnie 33.975, z czego 25.436 szkolnych. A mimo to tylko „Dzikuska" (nomen omen) i „Sennik egipski" doszły do norm sowieckich.

Ogólny nakład „druków nieperjodycznych" (termin naszej statystyki) czyli broszur i książek wynosił w 1930 r. (r. 1931 był już rokiem kryzysu, który nakład obniżył katastrofalnie) — po potrą-

ceniu „dokumentów życia społecznego" czyli odezw, reklam itp. — 22.921.000 egzemplarzy dla 6.227 „druków". Na 1 książkę przypadało zatem 3.681 egz. czyli 11 proc. ilości bibljotek. Albo — innemi słowy — każdy obywatel (dorosły i niepełnoletni, piśmienny i analfabeta) mógł nabyć rocznie nie więcej jak 2/3 książki. Czyli na 3 obywateli 2 egz. prac naukowych, literatury pięknej, wydawnictw popularnych lub podręczników.

Jeżeli te liczby nie są skandaliczne, to cóż w takim razie jest skandalem?

Inteligencja polska (urzędnicy, wolne zawody, ziemianie, część przemysłowców i kupców liczy podobno 700.000 osób, razem więc z rodzinami (przy współczynniku 1,1) — 1,5 miljona ludzi. To jest ten właściwy rynek dla „druków nieperjodycznych", wśród których są również druki w językach obcych oraz — podręczniki. Odejmując te ostatnie (722 książki — 4.112.000 egz.), a pozostałość zmniejszając na książki nie-polskie tylko o 20 proc., otrzymamy 5.200 książek w 15.000.000 egz. Stąd stosunek 10 egz. na 1 inteligenta „wogólności" lub — ściślej biorąc — 20 egz. na 1 inteligenta pracującego i zarabiającego. Licząc 6 zł. za książkę, mamy 120 zł. rocznie (10 zł. miesięcznie) w budżecie rodzinnym.

Zdawałoby się — wszystko w porządku. Ale przecież przeciętny typ szanującego się inteligenta nie wydaje 10 zł. miesięcznie na książki. Ankiety, przeprowadzone wśród sfer wyłącznie urzędniczych wykazały, że w 1932 r. wydatki na kulturę i oświatę stanowiły 6,4 proc. ogółu rozchodów, co przy przeciętnym miesięcznym wydatku 250 zł. daje 16 zł., z czego conajmniej połowa, o ile nie 2/3, odchodzi na czasopisma, teatr i kino. W najlepszym razie 8 zł., a skłonny jestem mniemać, że tylko 5 zł. przeznacza inteligent polski na kupno książek.

A więc skoro 5 zł. zamiast teoretycznie 10 zł. — to połowa nakładu pozostaje nierozsprzedana. Zamiast nędznej ilości 2.900 egz. jeszcze nędzniejsze 1.450 egz. nakładu. Resztę jedzą myszy. Na zdrowie!

Gdzie przyczyna tego faktu, którego skandaliczność rośnie w miarę, jak go analizować? Przyczyn jest więcej, niż jedna.

W Polsce wogóle nie interesowano się książką w sposób masowy. Nie pomagała moda, sława, czy — Boże odpuść — reklama. Nie istniała poprostu potrzeba na książki. W Rosji jeszcze przed wojną skromna, jak na tak wielkie państwo, kadra inteligencji pochłaniała książki tysiącami i dziesiątkami tysięcy tomów; encyklopedje popularne szły masowo, klasyków literatury rozchwytywano. To, co dzisiaj robią bolszewicy, jest tylko spotęgowaniem i rozszerzeniem prądu, istniejącego zawsze w „dzikiej" Rosji. W Polsce dominował zato typ ziemiańskiego i mieszczańskiego salonu z książką na „pokaz", nabytą przez snobizm, który w danym wypadku nie okazał się dźwignią postępu.

Po wojnie zbiednieniu inteligencji towarzyszył proces zastępowalności potrzeb: książka ustąpiła miejsca gazecie i — kinu. Przed wojną gazeta dawała niewiele materjału myślowego i duchowego, gdyż czuwała nad nią cenzura; książki, zwłaszcza literatura piękna, były w lepszej sytuacji i łatwiej przemawiały pomiędzy wierszami. Przed wojną kino było zabawką dla jednostek, po wojnie przerodziło się w „circenses" o niesłychanie szerokim zasięgu. Według statystyk stołecznych każdy obywatel Warszawy bywa w kinie (w okresie kryzysu) conajmniej raz na miesiąc; odliczając połowę na takich, co chodzić do kina nie mogą, otrzymamy, że każdy szanujący się mieszkaniec stolicy musi conajmniej raz na dwa tygodnie zobaczyć obraz filmowy.

Polityka cen, stosowana przez wydawców i księgarzy, jest zabójczą: normalny typ książki (12 — 15 arkuszy) kosztuje min. 6 zł. Horrendum! Jeżeli przeciętny inteligent może przeznaczyć 5 zł. miesięcznie na zakup książek, to zgóry wiadomo, że nie kupi ani jednej książki, jeżeli jej cena przekracza owe 5 zł. (o odkładaniu z miesiąca na miesiąc, aby móc sobie kupić książkę droższą, mogą mówić tylko wyjątkowe jednostki). A księgarnia to nie sklepik spożywczy: zamiast 1 książki za 6 zł. nie kupuje się 2 książek za 3 i 2 zł. Wydawca tłomaczy się, że papier, zecer, autor... O autorze — jak wiemy ze znakomitej ankiety Instytutu Gospodarstwa Społecznego („Życie i praca pisarza polskiego") — lepiej nie wspominać: zarabia poniżej wszelkich norm i przyzwoitości. Pozostają koszty rzeczowe. Jak są kalkulowane — nie wiem, pamiętam tylko, że poważna firma wydawnicza drukowała swe książki w Czeskim Cieszynie, a zatem musiało tam być o wiele taniej (chociaż płace w Czechosłowacji są nieco wyższe, niż w Polsce); coprawda nie odbiło się to na cenie książki. Wydawca, biorąc 6, 8 czy nawet 12 zł. za książkę (przed wojną brał 1 — 2 rb. czyli 4,70 — 9,50 zł., nie uwzględniając zmiany siły nabywczej pieniądza), tłomaczy się jak może: w Polsce nikt nie czyta, niema ustawy bibljotecznej... W rezultacie mały nakład — duża cena. O odwróceniu tej zależności jakoś się nie mówi. Jedynie reklamuje się zniżkę cen z okazji „Święta", „Tygodnia", wystawy czy poprostu wyprzedaży książek, kiedy rzuca się na rynek ocalałe przed myszami „starocie" z klasykami, jak rodzynki. Robi się to pod hasłem: „Co w koszu — do wyboru", tylko, że w prawdziwym koszu cena jest standartowa: 1 złoty, podczas gdy szanujący się księgarz nie zejdzie — w analogicznym „artykule" — poniżej 3 zł.

Książka, jako towar (inne jej cechy świadomie pomijam) musi być traktowana po kupiecku. Duży obrót — niska cena: jedna zasada; propaganda, reklama, konkursy dla pisarzy i dla czytelników — druga zasada; trzecia — mniej snobizmu, więcej wyczucia potrzeb masowych, społecznych. Uniknie się wtedy takich gospodarczych nonsensów, jak książka 15-o arkuszowa, kosztująca powyżej 5 zł. czy — horribile dictu — 10 zł., jak encyklopedja popularna (?), zawierająca minimum informacji, za 100 zł. (i to w prenumeracie!), jak wydawanie wielkich, momumentalnych dzieł zbiorowych w rodzaju sejmowego wydania dzieł Mickiewicza, które jest za obszerne i za drogie, aby mogło zbłądzić pod czyjąkolwiek strzechę, a tylko

daje „specom“ od literatury okazję do ostrzenia sobie języków i wymyślania fachowo jeden drugiemu etc., etc. Proszę zapamiętać: w Rosji Sowieckiej jest 30.000 bibljotek, a ponadto idzie na rynek 50.000 — 30.000 = 20.000 egz. W Polsce zatem powinno iść: do bibljotek (nie licząc czytelni prywatnych) 34.000 i 2/3 tej ilości czyli 23.000 poza bibljotekami, razem 57.000 egz. Idzie natomiast 3.681 t. zn. 6 proc. norm sowieckich.

W rezultacie mamy obrazek: cena wygórowana: zarobek pośrednika czy wydawcy również wygórowany (30 proc. za komis.); brak kapitału i kredytu; uprawnianie „rzemiosła“ wydawniczego przez ludzi, którzy albo znają się na książce, a nie znają się na interesach, albo orjentują się nieźle w handlu, ale nie wiedzą, co to jest literatura i nauka; nakład najpoczytniejszych autorów w kilku tysiącach egzemplarzy; karmienie myszy w magazynach; kultywowanie ciemnoty wśród tych, co nie stanowiąc „górnych dziesięciu tysięcy“ odczuwają głód książki niewątpliwie większy od głodu fizycznego...

I dlatego mówimy: gospodarka książką polską jest skandaliczna.

z. i.

TADEUSZ ŁYCHOWSKI

„ROZKAZODAWSTWO“ ZA OCEANEM

O „eksperymencie“ prezydenta Roosevelta pisze dziś cała prasa codzienna i fachowa świata niezliczone ilości artykułów, notatek czy krytyk. Tytuły takie, jak: dokąd zmierza dolar? czy zmierzch eksperymentu? itd. itd. powtarzają się w różnych językach codziennie w prasie różnych punktów kuli ziemskiej. Ale zajmują się one wszystkie meritum całego eksperymentu amerykańskiego. Nic dziwnego — o to meritum właśnie chodzi. Czasem tylko dochodziły nas odgłosy inne, nietyczące się sytuacji Wall street czy sporów o jakiś kodeks przemysłowy. Odgłosy te uchylały nieco zasłony z zagadnienia — nie *co* się robi w Stanach Zjednoczonych, ale *kto* to wszystko robi. Mówiono nam o jakimś „truście mózgów“ jako o swego rodzaju dyktaturze kolegjum inteligentów nad gospodarką amerykańską. Niewiele z tego można było się dowiedzieć. Aż dopiero po przeczytaniu nowej książki znanego francuskiego pisarza, p. Andrzeja Maurois, p. t. Chantiers americains (Warsztaty amerykańskie) otworzyły się nam nieco oczy na te sprawy.

Dlaczego książka (a właściwie, powiedzmy prawdę, reportaż z podróży, odbytej przez autora w lecie r. b. do Stanów Zjednoczonych) jest ciekawa? Dlatego, że p. Maurois z jednej strony należy do tych nielicznych nie-anglosasów, którzy mają niesłychanie subtelne wyczucie psychologji anglosaskiej naskutek długoletniego bliskiego obcowania z nią i zżycia się z nią bardzo ścisłego, z drugiej zaś — dla tego że p. Maurois... nie jest ekonomistą i pisze o „eksperymencie“ Roosevelta jak inteligentny laik... Ale właśnie bardzo, bardzo inteligentny...

Otóż teraz dla kogoś, kto zna eksperyment amerykański z cyfr, faktów, dokumentów, który rozumie ideje całą od strony teoretyczno-gospodarczej, wywody p. Maurois o merytorycznej stronie samego zagadnienia nie są — i nie mogą, oczywiście, być interesujące. Dla autora zawsze ważniejsze będzie to, co robi się w Stanach bezpośrednio *dla ludzi*, od tego, co stanowi właściwie o istocie samej akcji gospodarczej. Na pierwszem miejscu mówi się o półmiljardzie, przeznaczonym na zapomogi dla bezrobotnych, na czwartem... o inflacji... Ale też i nie poglądów gospodarczych należy szukać w książce p. Maurois, lecz owych bezpośrednich spostrzeżeń o tych, którzy w Ameryce od kryzysu cierpią, a jeszcze bardziej o tych, którzy z kryzysem próbują walczyć...

Tej właśnie „nowej ekipie“ ludzi, zgrupowanych obok prezydenta Roosevelta poświęca Maurois bardzo dużo miejsca w swym reportażu. A więc o samym „wodzu“, o czarującym i niesłychanie popularnym jakoby w Stanach prezydencie mamy aż cały rozdział. Dowiadujemy się, *jak wygląda* (od zewnątrz — oczywiście) prezydent Roosevelt i jakich używa metod, aby popularność swą w Stanach utrzymać. Historyjka o czytaniu przezeń malarzowi pokojowemu swego orędzia o kryzysie bankowym dla sprawdzenia, czy może ono być zrozumiałe naprawdę szerokiemu ogółowi, jest wzruszająca. Ale jeszcze bardziej dziwią nas jego „nieprzewidziane reakcje“, jego „zadziwiająca szybkość decyzji“w sprawach, które by właściwie nadawały się raczej do bardzo rozważnych posunięć, jego łatwość przejmowania się cudzemi pomysłami, krepująca samych projektodawców, którzy woleliby, aby można go było przekonać z nieco większym trudem...

Pod takim to „wodzem“, który przypomina raczej psychicznie literata lub artystę, a w każdym razie nie człowieka, który wziął na swe barki zadanie uchronienia olbrzymiego gospodarstwa Stanów Zjednoczonych od ostatecznej katastrofy, pracują ludzie „nowej ekipy“... P. Maurois dzieli ją jak drużynę piłkarską na trzy „linje“ graczy. Jako „atak“ stawia ów sławny „trust mózgów“, o którym, jak mówiliśmy, pisze się w Europie wiele, ale nikt dokładnie nie wie, z czego się składa...

Z czego się składa?... P. Maurois daje francuskiemu czytelnikowi porównanie francuskie. My — damy polskie. Wyobraźmy sobie, że wojewoda krakowski zostaje prezydentem Rzeczypospolitej (oczywiście z atrybutami władzy prezydenta Stanów Zjednoczonych...) i formuje gabinet z mło-

dych profesorów i docentów wydziału prawnego Uniwersytetu Jagiellońskiego... To właśnie zrobił Roosevelt, gubernator stanu New York, z wydziałem prawnym Columbia University. Comparaison n'est pas raison... Albowiem trzebaby było jeszcze wyobrazić sobie, że nasza „szkoła krakowska" wyzbyła się całkowicie swego liberalizmu gospodarczego i przeszła do wprost przeciwnego obozu... Dajmy pełną swobodę naszej fantazji...

Otóż ci „inteligenci" z uniwersytetu Columbia (a także i z kilku innych) rządzą Stanami Zjednoczonemi. Zapewne — mają oni za sobą „drugą linję „niektórych dawnych urzędników i polityków, a nawet trzecią, złożoną ze starych wyjadaczy parlamentarnych, bez których żaden rząd — nawet i prez. Roosevelta — obyć się widać w Stanach Zjednoczonych nie może. Ale — widzimy to jasno — *rządzi* w Stanach „pierwsza linja". Owe „cudowne dzieci", jak ironicznie mawiają o nich starzy senatorowie. Prof. Moley który sam opowiada o sobie, że wykładał prawo karne w szkole żeńskiej, rozbija w imieniu Stanów Zjednoczonych światową konferencję w Londynie. Prof. Tugwell jako podsekretarz stanu w departamencie rolnictwa próbuje rozwiązywać „kwadraturę koła", jaką niewątpliwie jest los farmerów w Stanach Zjednoczonych...

Opowiadano nam, iż w Berlinie pracują obecnie przy Hitlerze ludzie, którzy porzucili swoje dotychczasowe zawody i zjechali do stolicy budować „trzecią Rzeszę". Naczelny lekarz jednej z klinik monachijskich jest „Oberregierungsratem" i zostawił w rodzinnem mieście nietylko klinikę ale i żonę i dzieci, a sam w Berlinie mieszka w pensjonacie... Posłuchajcie teraz Maurois'a: „młodzi ludzie, którzy zajmują szereg ważnych stanowisk w państwie, mieszkali razem w „pokojach umeblowanych", pośpiesznie wynajętych... Pozostawili swoje żony — jeden w Kalifornji drugi w Maine, trzeci w New Yorku, i ulokowali się w Waszyngtonie, aby zespolić swe wysiłki i marzenia..."

Widocznie „eksperymenty" wymagają nowych ludzi. I Hitler i Roosevelt postępują pod tym względem identycznie...

* * *

Kiedy czyta się te opowiadania, wówczas dopiero zrozumiałem się staje to wszystko, co dzieje się w Stanach Zjednoczonych od dziewięciu miesięcy... Ludzie, którzy obecnie w Stanach mają w rękach pełnię władzy, zajmowali się przez ostatni dziesiątek lat... pisaniem artykułów i książek. Obecnie muszą rządzić. O samych sobie mówią, że nie są doktrynerami. „Jeśli pierwsze nasze próby nie udadzą się, poszukamy czegoś innego". Za punkt wyjścia mają twierdzenie, że ich nowe metody „nie mogą być gorsze od starych", które doprowadziły do 14 miljonów bezrobotnych, zamknięcia banków i redukcji produkcji stali do 9 proc. normalnej... Ten „punkt widzenia" charakteryzuje w całej pełni ideologję „nowej ekipy". Wszyscy są etatystami i przeklinają liberalizm gospodarczy; wszyscy wymyślają na „starych", którzy „nic nie rozumieją"; pragnęliby spalić dzieła zbiorowe Adama Smitha i „siadać na giełdzie", o ile będzie zanadto spekulowała... Jeden chce akcją rządową kierować w odpowiednie łożyska rozwój cen i mechanizm wymiany. Inny chciałby „administrować całą tą historją przy pomocy kart żywnościowych bez pieniędzy"... Wówczas zagadnienie stałoby się dlań „mniej ciemne".

I Maurois, którego inteligenckiej duszy ludzie ci muszą być przecież bliscy, nie może oprzeć się obawie, kiedy cytuje powiedzenie jednego z „ekipy" o tem, że „the trouble is that this is a real world" — że trudność leży w tem, iż ten świat jest prawdziwy...

Takimi ludźmi rządzą się obecnie Stany Zjednoczone. Podobni ludzie stoją na czele rządów w Niemczech. Podobni (jakkolwiek już lepiej „otrzaskani" w praktyce) w Rosji sowieckiej. Podobni — we Włoszech. Polityka gospodarcza nietylko zmienia swą treść ale i swe podmioty. Przewartościowanie wartości dawnych polityków gospodarczych osiąga punkt kulminacyjny. Jeszcze chwila — w obliczu nowych wyborów zmieni się „ekipę" rządową w Anglji. O „odmłodzeniu" rządów we Francji mówi się od długiego czasu...

Zagadnienie „ekip" rządzących łączy się wyraźnie z zagadnieniem meritum samej polityki gospodarczej ostatnich czasów. Wielkie organizmy gospodarcze świata coraz silniej odchodzą od wolnego handlu we wszystkich jego przejawach. Wobec tego ginie i przedstawiciel władzy państwowej, reprezentujący wolny handel, — człowiek z reguły związany więzami bądź rodzinnemi bądź „businessu" ze światem finansów, handlu czy przemysłu. Przypomnijmy sobie reorganizację personalną nietylko centralnych niemieckich urzędów gospodarczych ale i Reichsverbandu der deutschen Industrie. Jeszcze we Francji Comité des Forges i Comité des Houilléres wraz z wielkiemi bankami odgrywają rolę decydującą poprzez związanych z niemi polityków parlamentarnych. Ale już w Anglji przeciwieństwa stałe pomiędzy City i rządem (który przecież jest najbardziej konstytucyjnym i parlamentarnym) stają się dosyć duże. We Włoszech, Niemczech i Stanach Zjednoczonych poszło się jeszcze dalej.

Ta „osobowa" strona rozkazodawstwa gospodarczego, która coraz bardziej uzewnętrznia się na świecie zasługuje na uwagę. Przypominamy sobie, że swego czasu prof. Krzyżanowski wskazywał na osobowy skład „ekip", rządzących Polską, podkreślając, iż w przeciwieństwie do zagranicy rządzili u nas zawsze ludzie niezwiązani osobiście z zagadnieniami gospodarczemi. Homines novi — w każdym calu. Konstatujemy (nie wyciągając zresztą stanowczo przedwczesnych wniosków uogólniających), iż kryzys gospodarczy wytwarza podobne tendencje tam, gdzie ekipy rządzące wyrastały z rozwijającego się organizmu państwowego i były jego naturalną emanacją. Widocznie wstrząs powstającej Polski musiał skłonić nas już na samym początku do pójścia po drodze, na którą wprowadza innych dopiero wstrząs kryzysu światowego. Warto byłoby zastanowić się nad przyszłością tego zjawiska.

NOTATKI

KOSZTOWNY INDYWIDUALIZM.

W małej Belgji (powierzchniowo 13 razy mniejszej od Polski) istnieje „Office Nationale des Habitations à bon marché", który jest — w liberalnym kraju — dyktatorem w zakresie budownictwa mieszkaniowego. Bez jego zgody niema tam mowy o wyborze typu, kosztorysu itp. domu, budowanego przy takim czy innym udziale środków publicznych. On narzuca plany wznoszonych budowli, on je normalizuje, on decyduje, co i jak budować. Nie dążąc do jednorodności, jednostajności i bezdusznej karności, potrafi zdyscyplinować kredytobiorców i tą drogą uzyskać harmonijną całość, tam, gdzie element taniości budownictwa i racjonalnej polityki urbanistycznej odgrywa ogromną rolę.

W Polsce, kraju jakoby etatystycznym i napół skomunizowanym, gdzie rzekomo obywatele pozbawieni są swobodnej decyzji, gdyż ją za nich pobierają władze państwowe, w Polsce — powtarzamy — istnienie podobnego „Office" nie da się poprostu wyobrazić. W okresie wielkiego rozmachu budowlanego nie udało się zbudować dosłownie 2 jednakowych domów wielorodzinnych, a i teraz, kiedy na pierwszym planie stoi skromne budownictwo małych indywidualnych domków, ujęcie tego budownictwa w jakie takie karby okazało się niepodobieństwem.

Nie można powiedzieć, żeby ze strony kierowniczych instytucyj państwowych i społecznych nie starano się do wybujałego polskiego indywidualizmu budowlanego wprowadzić trochę norm i dyscypliny. Bank Gospodarstwa Krajowego ogłosił konkurs na projekty budynków indywidualnych, architekci sypnęli kilkaset prac, wyróżniono spośród nich kilkadziesiąt, wreszcie 24 ujęto we wzorowe typy. Rozesłano katalogi, wydano podręcznik „Buduj"! (nakładem i staraniem Polskiego Towarzystwa Reformy Mieszkaniowej), zorganizowano „Poradnię Budowlaną" — wszystko namiastki czy pierwociny belgijskiego „Office Nationale" — i okazało się, że kredytobiorcy podawnemu budują tak, jak im się żywnie podoba, nie patrząc na otoczenie, na koszty i na prawidłową zabudowę terenów, których wszak niema w nadmiarze. Byleby wykazać swoją „niezależność", byleby czemś odróżnić się od sąsiada, byleby nie podporządkować się pewnym, określonym zgóry normom, układanym wszakże przez fachowców. Fachowcom budowlanym, architektonicznym, urbanistycznym jest każdy, kto ma pańską fantazję wydać pieniądze na budownictwo; fachowcem jest i urzędnik i dozorca i kupiec i rzemieślnik i inżynier - chemik.

Nie będziemy z tego powodu rozdzierali szat, tem więcej, że drobna część winy leży również po stronie „góry". Propaganda jest niedostateczna i zbyt mało dostępna ogółowi budujących, znormalizowane typy budowli nie zawsze odpowiadają lokalnym warunkom poszczególnych dzielnic czy ośrodków, planujący najczęściej biorą pod uwagę koncepcję architektoniczną, zapominając o innych elementach projektu itd., itd. Nie da się jednak zaprzeczyć, że społeczeństwo polskie nie reaguje na zdrową i ekonomicznie uzasadnioną ideę uproszczenia, znormalizowania i ujednolicenia budownictwa, ideę podporządkowania, a conajmniej uzgodnienia indywidualnych potrzeb czy pretensyj z ogólno - społecznemi czy ogólno - gospodarczemi wymaganiami. Wszakże nietylko budownictwo jednostkowe, „na własną rękę", ale nawet budownictwo seryjne, zbiorowe, nie obroniło się przed wszechwładztwem doktryny: „Wolnoć Tomku w swoim domku". Znormalizowane budownictwo seryjne uległo w praktyce załamaniu i wypaczeniu dzięki indywidualnym wymaganiom, stawianym przez przyszłych właścicieli domów. W czasie budowy i po jej zakończeniu czynione są poprawki i zmiany tak daleko idące, że pierwotna, harmonijna koncepcja architektoniczna i pierwotny „żelazny" kosztorys okazują się fikcją — bez względu na skutki, i, co gorsza, bez względu na koszty. Byleby postawić na swojem, chociaż zazwyczaj stawia się na cudzym... gruncie i za cudze (t. zn. publiczne) pieniądze.

z. i.

BUDUJMY.

Czytelnik zamieszczonej w niniejszym numerze notatki pt. „Kosztowny indywidualizm" łacno może dojść do wniosku, że przepisy normujące ruch budowlany w Polsce są niedość rygorystyczne, że ten dział norm prawnych stanowi u nas nieliczny wypadek nadmiernego, przesadnego liberalizmu. Niestety, nie negując zupełnie słuszności wywodów wspomnianej notatki, musimy wyprowadzić czytelnika z błędu. Czem jak czem, ale przesadnym liberalizmem przepisy budowlane nie grzeszą. Luka, umożliwiająca kosztowny indywidualizm, jest raczej zjawiskiem wyjątkowem, natomiast całokształt przepisów idzie raczej w kierunku odwrotnym — skrajnie rygorystycznym. Lektura notatki pana z. i. przypomniała piszącemu te słowa, jak wygląda w praktyce, w życiu, stosowanie przepisów budowlanych.

Rzecz dzieje się na Kresach Wschodnich, na wsi, przeważnie białoruskiej, t. zn. słabo, lub wcale nie władającej językiem polskim. Odsetek analfabetów powszechnie znany, gminy — jak wiadomo — obejmują nieraz przestrzenie o promieniu kilkudziesięciu kilometrów. Z jakiemi formalnościami związane jest rozpoczęcie przez chłopa budowy najdrobniejszego objektu, dajmy na to chlewa, czy też jeszcze skromniejszego budyneczku, do wybudowania którego zmuszają słusznie surowe przepisy sanitarne? Wystarcza drobiazg: zezwolenie wójta. Niestety drobiazg nie jest drobiazgiem. Ażeby uzyskać zezwolenie wójta należy wnieść podanie na odpowiednim formularzu. Formularz taki widziałem, obejmuje on dwie strony

druku, t. zn. kilkanaście czy dwadzieścia kilka pytań, zredagowanych, rzecz prosta, w polszczyźnie urzędowej, a więc niezawsze dostępnej dla rdzennych Polaków z uniwersyteckiem prawniczem wykształceniem. Do podania należy załączyć plan budowanego objektu (proszę sobie wyobrazić chłopa - analfabetę, rysującego plan). Przytem mały szczególik: wymiary w podaniu należy podać w metrach — konia z rzędem temu, kto znajdzie w głuchej wsi kresowej chłopa, umiejącego przeliczyć zwyczajowe arszyny na metry. Lege artis sporządzone podanie ma szanse uwzględnienia, o ile zachowane w niem zostały wszystkie, bardzo skrupulatnie sformułowane przepisy, ustalające jaki dystans ma dzielić wspomnianą już sanitarną budowlę od studni, od chaty sąsiada i od ulicy wiejskiej (wspomniano mi, że w poszukiwaniu stosownego miejsca dla wyżej wspomnianych budyneczków wybiera się na wsiach kresowych z całą lojalnością miejsce najlepsze „frontowe").

W szczęśliwym wypadku, t. zn. jeżeli znajdzie się chłop, który potrafi przebrnąć przez te wszystkie trudności, względnie jeżeli znajdzie się wójt, obdarzony cywilną odwagą niehonorowania litery prawa, pozostanie już tylko jedno — wyjazd wójta na miejsce budowy, do czego zobowiązują wyraźne instrukcje władz nadzorczych, zabraniające przelewania tych doniosłych kompetencyj na sołtysów. W tem miejscu przypomnijmy sobie, że rok ma zaledwie trzysta sześćdziesiąt pięć dni, że przy obszarach kresowych gmin wyjazd musiałby zajmować niekiedy całą dobę, lub więcej, no i że wójt ma coś więcej do roboty poza zatwierdzaniem kilkudziesięciu czy kilkuset chlewów rocznie. Rezultat? Ponieważ przebrnięcie przez wyżej naszkicowane przepisy jest „nieco" trudniejsze od ich opisu, zdarzają się jakoby wypadki, kiedy chłopi, zwiedziawszy się o sankcjach karnych, przewidzianych w razie budowy bez zatwierdzenia władzy gminnej, zgłaszają się do gminy z propozycją „odsiedzenia" zgóry, byle tylko wolno im było uniknąć całej procedury i budować bez pozwolenia.

W warunkach obecnych, kiedy brak pracy na wsi zachęca do budowania własnemi siłami, a koszt budulca sprowadzony jest do minimum albo też dosłownie do zera (mniejsza z tem, jaką drogą), ruch budowlany na wsi bynajmniej nie zamarł w tej proporcji, co ruch budowlany w miastach, zwłaszcza wielkich. Tem samem utrudnienia, o jakich mówiliśmy wyżej, stanowią obciążenie, bynajmniej nie teoretyczne, lecz o realnem znaczeniu. Jeżeli czytelnik zechce zestawić notatkę niniejszą z notatką pana z. i. będzie musiał dojść do wniosku, że kosztowny indywidualizm na jednym odcinku usiłują przepisy budowlane skompensować niemniej kosztownym rygoryzmem na innym. Być może, że przepisy budowlane w ich obecnej formie na innych terenach (Zachodnia Polska), dają się zastosować w całej pełni. W każdymbądź razie nie ulega wątpliwości, że na znacznej części terytorjum Polski przypominają przysłowiowy kwiatek przy kożuchu.

c. b.

EKSPORT MASZYN.

Znaczenie eksportu maszyn, jako produktu zawierającego dużo pracy jest teoretycznie biorąc w zupełności w Polsce doceniane. Mówimy teoretycznie, ponieważ ogólne warunki eksportu maszyn nie są sprzyjające — cena wewnętrzna podstawowego surowca — żelaza i stali jest bowiem bardzo wysoka, a p. H. Tennenbam nie waha się w swojem kapitalnem dziele „Struktura gospodarcza Polski" nazwać tę cenę prohibicyjną. W tych wypadkach gdy eksport jest dokonywany na kredyt, jak np. do Z. S. S. R. wysokość stopy dyskontowej jest o 3% wyższa niż przy eksporcie żelaza walcowanego. Również pod względem taryf kolejowych, niema dla maszyn specjalnych taryf ulgowych, aczkolwiek ulgi takie mogą być indywidualnie przyznawane.

Znaczenie eksportu maszyn nie ogranicza się jednak do samego tylko zagadnienia eksportu towaru o wysokiej zawartości pracy. Poza tym bowiem ogromnej wagi faktem gospodarczym i socjalnym isnieją jeszcze inne przesłanki o charakterze imponderabiljów.

Technika w dzisiejszem życiu społeczeństw odgrywa rolę nietylko materjalną. Poziom techniki jest przez współczesnego człowieka, słusznie czy nie słusznie — to inna sprawa, uważany za miernik i sprawdzian ogólnego poziomu kulturalnego, konstrukcje techniczne są przedmiotem dumy nietylko bezpośrednich twórców ale i całych narodów. Maszyna, z tabliczką w polskim języku, jest narzędziem propagandy niepośledniej wagi. Jeśli trafi do miejsca gdzie pracuje polski robotnik, może oddziałać na jego narodową dumę nie mniej, niż wieści o sukcesach politycznych lub sportowych i równie skutecznie, jak te fakty, może oddziaływać na zachowanie poczucia narodowej przynależności naszego rozproszonego wychodźctwa a u obcych wzbudzać szacunek. Wszystkie takie drobne nawet fakty nie wpływając często wcale na bieg codziennego życia, przyczyniać się mogą do wytwarzania i podtrzymywania więzi duchowej między jednostką a zbiorowością, więzi, które w chwilach wielkich konfliktów dziejowych ujawnia się z ogromną siłą.

Drugi zasadniczy moment, trudny do ścisłego wyważenia ale tembardziej doniosły, to wpływ eksportu maszyn na poziom techniki naszej produkcji. Polska jako rynek zbytu dla maszyn nie reprezentuje pojemności dostatecznej, ażeby fabryki mogły wzbogacać swój program wytwórczy o coraz to nowe i nowe typy maszyn, gdyż sprzedaż ograniczona do kilku jednostek nie pozwoliłaby na pokrycie kosztów prób, rysunków technicznych, patentów, specjalnych instalacyj i sztabu konstruktorskiego. W tej płaszczyźnie eksport z punktu widzenia bilansowego staje się nietylko wzmożeniem wywozu ale i środkiem ograniczania przywozu maszyn, środkiem wiodącym do niezawisłości technicznej. Seryjna wytwórczość dla eksportu pozwala stale na rewidowanie kalkulacji cen wewnętrznych i t. d. i t. d.

Z tych względów fakty eksportu lokomotyw

do Marokka, Łotwy, Bułgarji. Z. S. S. R. wykraczają poza ramy wydarzeń czysto „eksportowych“, toż samo eksport innych maszyn. Korzyści ekonomiczne oraz znaczenie militarne produkcji eksportu maszyn są zbyt znane by się o tem rozpisywać, a łącznie z poruszonemi przez nas imponderabiljami czynią z eksportu maszyn, sprawę, zasługującą na szczególne uwzględnienie ze strony państwowej polityki gospodarczej.

z. sz.

MAŁA PEWUKA.

Jedno z warszawskich gimnazjów żeńskich (gimnazjum im. Słowackiego) zainicjowało w związku z piętnastą rocznicą Niepodległości imprezę oryginalną, interesującą i, jeśli się nie mylę, stanowiącą u nas zupełną nowość. Mianowicie uczenice szkoły zorganizowały na dostępną im małą skalę „powszechną wystawę krajową“, wystawę, która w założeniu miała zobrazować stan poszczególnych gałęzi życia polskiego i rezultaty osiągnięte w danych dziedzinach w ciągu ostatnich lat piętnastu. Oczywiście z natury rzeczy najtrudniej było o zilustrowanie dynamiki rozwojowej, to bowiem wymagałoby większych środków i kompetencyj fachowych, niż te, jakiemi dysponować mogą uczenice czy uczniowie gimnazjalni. W gruncie rzeczy nie należałoby używać wyrażenia „większych środków“.Wystawa została zorganizowana bez żadnych środków, jeśli przez to wyrażenie rozumieć środki pieniężne. Nie kosztowała ani grosza, nie pociągnęła za sobą żadnych nakładów, z wyjątkiem nakładu pracy uczennic i pedagogów. Poprostu podzielono zagadnienia pomiędzy poszczególne klasy gimnazjum, jedna z klas zajęła się przemysłem, druga rolnictwem, trzecia sprawami morskiemi, inna przemysłem ludowym. Jeśli chodzi o statyczne przecięcie rzeczywistości polskiej, wystawa wypadła nieoczekiwanie wprost dobrze, dostarczając pola do bardzo interesujących obserwacyj i wniosków. Czyż nie jest rzeczą niezmiernie charakterystyczną, że pojęcie „przemysł ludowy“ przekształciło się na wystawie w pojęcie „zdobnictwa ludowego“, dając zresztą bardzo ładniutki i obficie zaopatrzony dział — z zupełnem jednak wyeliminowaniem ludowej produkcji nieartystycznej. Prawdopodobnie nie jest również rzeczą przypadku, że dział przemysłu fabrycznego należał do stosunkowo mniej szczęśliwych. Braki w zakresie eksponatów wynagradzały tu jednak wykresy i roczniki statystyczne (proszę pomyśleć: roczniki statystyczne w tak zwanej żeńskiej szkole“). Dla działu górnictwa umiejętnie wykorzystano materjał fotograficzny i zbiory geologiczne szkoły. Dział morski stał conajmniej na poziomie prowincjonalnej „dorosłej“ wystawy. Sposób podejścia piszącego te słowa wskazuje chyba najlepiej, na ile poważnie można było brać rezultaty parodniowej tylko, ale zato zbiorowej pracy młodzieży.

Ten kąt widzenia, kąt widzenia zwiedzającego, jest zresztą najmniej doniosły. Jako impreza pedagogiczna — a z tej strony przedewszystkiem musimy spoglądać na wystawę — daje ona najwięcej samym jej organizatorkom. Celem zorganizowania swego działu uczenice musiały zapoznać się z wieloma kwestjami, których nie może objąć najlepiej prowadzony kurs nauki o Polsce, a przedewszystkiem musiały się zapoznać *samodzielnie,* gdyż udział ciała pedagogicznego został świadomie sprowadzony do koniecznego minimum. Uczenice potrafiły dotrzeć do Głównego Urzędu Statystycznego, do Ministerstw, do organizacyj społecznych, potrafiły zdobyć materjał i wykorzystać go. „Przy sposobności“ część materjałów pozostanie nazawsze w szkole. Dodajmy, że każda z uczenic obowiązana była sporządzić sprawozdanie z działu, organizowanego przez jej klasę. W ten sposób cała impreza wystawowa przerodziła się w masowe ćwiczenia praktyczne z zakresu wiadomości o Polsce, przyczem kierownictwo gimnazjum gros uwagi uczenice zwróciło ku zagadnieniom gospodarczym.

Komentarze są zbyteczne. Gimnazjum im. Słowackiego stworzyło i wypróbowało w praktyce nową, niezwykle prostą i skuteczną, najtańszą, bo darmową formę gospodarczego kształcenia młodzieży. Warto zastanowić się nad szerszem wykorzystaniem tej szczęśliwej inicjatywy. *c. b.*

ULGOWY BILET.

W numerze poprzednim „Gospodarki Narodowej“ omówiona została w szerszym zakresie i z ogólniejszej płaszczyzny sprawa zapowiedzianej obniżki taryf kolejowych, obniżki, o której zresztą rozpoczął kursować już dowcip, że dystans dzielący zapowiedź od jej wprowadzenia w życie, jest najdłuższym dystansem na P. K. P. Nie dziwimy się zresztą, podobnie jak autor wzmiankowanej notatki, że zrealizowanie projektu obniżenia taryf osobowych zostało dokonane dopiero po gruntownym, a tem samem dość długim namyśle, gdyż powzięcie decyzji bądź co bądź związanej z ewentualnością zmniejszenia wpływów Skarbu Państwa nie jest rzeczą łatwą. Natomiast łatwiej jest o powzięcie decyzyj idących w przeciwnym kierunku i dlatego musimy uważać za niespodziankę to, że zakres ulg specjalnych i indywidualnych ma być, jak wynika z informacyj prasowych, zwężony tylko nieznacznie. Argumenty, które mogły przemawiać za stosowaniem tych ulg w okresie niezniżonych taryf, tracą wobec zamierzonej obniżki na wadze, zwłaszcza, że nowa taryfa równa się w wielu wypadkach albo odbiega bardzo niewiele od taryf stosowanych dotychchas przy niektórych ulgach indywidualnych i zbiorowych. Z drugiej strony sądzimy, że doświadczenia okresu stosowania ulg indywidualnych i grupowych wskazują, iż w znacznym stopniu z tego rodzaju ulg korzystali pasażerowie „normalni“, t. zn., iż ulgi te tylko w dość ograniczonym stopniu wpływały na zwiększenie przewozów, stanowiąc w wielu wypadkach jedynie premję dla sprytu. Niezmiernie przekonywującego argumentu w tym kierunku dostarcza nam np. dział ogłoszeń w pismach codziennych. Oto co czytamy w „Kurjerze Warszawskim“:

„Z okazji uroczystości ku czci króla Jana Sobieskiego mogą korzystać wszyscy z tanich

przejazdów do Krakowa i zpowrotem, ze wszystkich stron Polski. Cierpiący na *przepuklinę* (rupturę) mogą wyzyskać sposobność celem odwiedzenia znanego w całej Polsce specjalisty M. Tillemana, wynalazcy opantentowanych bandaży itd. itd.".

Wobec rozpoczętego sezonu zimowego prasa ogłoszeniowa poinformuje nas zapewne niedługo, że „Krynica jest nietylko stolicą sportów zimowych, ale i siedzibą słynnego astrologa", że „do Wilna jedziesz z nartami, wracasz z kiełbasą litewską", że „huculskie kilimy najtaniej na czarnohorskim szlaku turystycznym" itd.

Zastrzeżenia, wysuwane w stosunku do systemu ulg indywidualnych i zbiorowych wypływają bynajmniej nie z niechęci do groteski w rodzaju brodatego narciarza z brzuszkiem i oszczędnego kupca, oddającego skwapliwie hołd wszystkim rocznicom historycznym. Idzie natomiast o to, że poza wątpliwemi skutkami w kierunku rozszerzenia popytu na usługi kolei system ulg indywidualnych pociąga za sobą niewątpliwe skutki w kierunku zmniejszenia wysokości opłat uiszczanych przez normalnych a przemyślnych pasażerów i w kierunku zachęcania społeczeństwa do poszukiwania wyjątkowych dróg, wyjątkowych okazyj. Doświadczenia z ulgowemi biletami do teatrów, kin itp. wskazują, że albo cena ulgowa staje się ceną normalną danego świadczenia, a cena rzekomo normalna staje się ceną dla „fuksów", albo też chęć korzystania ze świadczenia po cenie ulgowej hamuje popyt normalny.

a. u.

REDAKTOR ODPOWIEDZALNY I WYDAWCA W IMIENIU SPÓŁDZIELNI „GOSPODARKA NARODOWA". CZESŁAW BOBROWSKI

Sekretarz Redakcji ZOFJA CIECHOMSKA

ADMINISTRACJA CZYNNA CODZIENNIE OD 11 DO 13.

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: SZPITALNA 4. TELEFON 646-64. KONTO CZEKOWE P. K. O. 25.656

PRENUMERATA KWARTALNA 4 ZŁ. 50 GR. ZAGRANICĄ 6 ZŁ. CENNIK OGŁOSZEŃ NA ŻĄDANIE

Druk. „Nowogrodzka", Warszawa, Tarczyńska 4, tel. 680-20.